

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

CHŁOPI

[Kup książkę](#)

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

TOM PIERWSZY: JESIEŃ

ROZDZIAŁ 1

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Na wieki wieków, moja Agato, a dokąd to wędrujecie, co?

- We świat, do ludzi, dobrodzieju kochany - w tyli świat!... - zakreśliła kijaszkiem łuk od wschodu do zachodu. Ksiądz spojrzał bezwiednie w tę dal i rychło przywarł oczy, bo nad zachodem wisiało oślepiające słońce; a potem spytał ciszej, lękliwiej jakby...

- Wypędzili was Kłębowie, co? A może to ino niezgoda?... może...

Nie zaraz odrzekła, wyprostowała się nieco, powlekła ciężko starymi wypełzłymi oczami po polach ojesieniałych, pustych i po dachach wsi, zanurzonej w sadach.

- I... nie wypędzali... jakżeby... dobre są ludzie - krewniaki. Niezgody też nijakiej być nie było. Samam ino zmiarkowała, że trza mi w świat. Z cudzego woza to złaż choć i w pół morza.

Trza było... roboty już la mnie nie miały... na zimę idzie, to jakże - darmo mi to dadzą warzę abo i ten kąt do spania?...

A że rychtyk i ciolka odsadzili od maci... a i gąski, bo to już zimne nocki, trza zagnać pod strzechę, tom i zrobiła miejsce... jakże, bydłatek szkoda, Boże, stworzenie też... A ludzie dobre, bo mię choć latem przytula, kąta ani tej łyżki strawy nie żałują, że se człowiek kiej jaka gospodyni paraduje...

A na zimę we świat, po proszonym.

Niewiela mi potrza, to se u dobrych ludzi uproszę i do zwiesny z Panajezusową łaską przechyrlam, a jeszcze się coś niecoś grosza uścibi - to rychtyk la nich na przednowek... krewniaki przeciech...

A już ta Jezusiczek przenajśłodszy biedoty opuścić nie opuści.

- Nie opuści, nie - zawołał gorąco i wstydliwie wsadził jej w garść złotówkę.

- Dobrodzieju nasz serdeczny, dobrodzieju!

Przypadła mu do kolan roztrzęsioną głową, a łzy jak groch posypały się po jej twarzy szarej i zradlonej jak te jesienne podorówki.

- Idźcie z Bogiem, idźcie - szeptał zakłopotany podnosząc ją z ziemi.

Zebrała drżącymi rękami torby i kijaszek z jeżem na końcu, przeżegnała się i poszła szereką, wyboistą drogą ku lasom; raz w raz tylko odwracała się ku wsi, ku polom, na których kopano kartofle; i na te dymy pastusich ognisk, co się snuły nisko nad ścierniskami - poglądała żałośnie, aż i zniknęła za przydrożnymi krzami.

A ksiądz usiadł z powrotem na kółkach od pługa, zażył tabaki i rozłożył brewiarz, ale oczy ześlizgiwały mu się z czerwonych liter i leciały po ogromnych, w jesiennej zadumie pogrążonych ziemiach, to po bladym niebie błędziły lub zatrzymywały się na parobku, pochylonym nad pługiem.

- Walek... bruzda krzywa... te... - zawołał unosząc się nieco i chodził już oczami krok za krokiem za parą tłustych siwków, ciągnących pług ze skrzypem.

Zaczął znowu bezwiednie przebiegać czerwone litery brewiarza i poruszać ustami, ale co chwila gonił oczami siwki, to stadko wron, które ostrożnie, z wyciągniętymi dziobami podskakiwały w bruzdzie i raz w raz, za każdym świstem bata, za każdym nawrotem pługa, podrywały się ciężko, padały zaraz na zorane zagony i ostrzyły dzioby o twarde, zeszkłe skiby.

- Walek! a śmignij no prawą po portkach, bo zostaje!

Uśmiechnął się, bo jakoż po bacie prawa już równo ciągnęła, a gdy konie doszły do drogi, uniósł się żywo poklepał je przyjaźnie po karkach, aż wyciągały do niego nozdrza i przyjacielsko obwąchiwały twarz.

- Heeet-aa! - wołał śpiewnie Walek, wyciągnął błyszczący jakby ze srebra pług, uniósł go lekko, pociągnął konie lejcam, że zatoczyły krótki łuk, wraził krój błyszczący w rżysko, śmignął batem, konie pociąły z miejsca, aż zgrzytnęły orczyki - i orał dalej wielki łan ziemi, co pod prostym kątem spadał od drogi po pochyłości i niby długi watek zgrzebnych skib rozciągał się aż ku wsi, leżącej nisko i jakby zatopionej w czerwonych i żółtych sadach.

Cicho było, ciepło i nieco sennie.

Słońce, chociaż to był już koniec września, przygrzewało jeszcze niezgorzej - wisiało w połowie drogi między południem a zachodem, nad lasami, że już krze i kamionki, i grusze po polach, a nawet zeszcze twarde skiby kładły za się cienie mocne i chłodne.

Cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkość w powietrzu, przymglonym kurzą słoneczną; na wysokim, bladym błękitcie leżały gdzieś gdzieś bezładnie porozrzucone ogromne białe chmury niby zwały śniegów, nawiane przez wichry i postrzępione.

A pod nimi, jak okiem ogarnąć, leżały szare pola niby olbrzymia misa o modrych wrębach lasów - misa, przez którą, jak srebrne przedziwo rozbłysłe w słońcu, migotała się w skrętach rzeka spod olch i łozin nadbrzeżnych. Wzbierała w pośrodku wsi w ogromny podłużny staw i uciekała na północ wyrwą wśród pagórków; na dnie kotliny, dokoła stawu, leżała wieś i grała w słońcu jesiennymi barwami sadów - niby czerwono-żółta liszka, zwinięta na szarym liściu łopianu, od której do lasów wyciągało się długie, splecione nieco przedziwo zagonów, płachty pól szarych, sznury miedz pełnych kamionek i tarnin-tylko gdzieś gdzieś w tej srebrnawej szarości rozlewały się strugi złota - łubiny żółciły się kwiatem pachnącym, to białeły omdlałe, wyszcze łóżyska strumieni albo leżały piaszczyste senne drogi i nad nimi rzędy potężnych topoli z wolna wspinały się na wzgórza i pochylały ku lasom.

Ksiądz ocknął się z zapatrzenia, bo długi, żalosny ryk rozległ się gdzieś niedaleko, aż wrony poderwały się z krzykiem i skośnym rzutem leciały na kopaniska - a czarny migocący cień biegł za nimi dołem po rżyskach i podorówkach.

Przysłonił ręką oczy i patrzył pod słońce - drogą od lasów szła jakaś dziewczyna i ciągnęła za sobą na postronku dużą, czerwoną krowę; gdy przechodziła obok, pochwaliła Boga i chciała skrócić, aby księdza pocałować w rękę, ale krowa szarpnęła ją w bok i znowu ryczeć zaczęła.

- Na sprzedanie prowadzisz, co?

- Ni... ino do młynarzowego bysia... a stójże, zapowietrzona... Wściekłaś się czy co! - wołała zadyszana; usiłując powstrzymać, ale krowa ją pociągnęła, że już obie gnały w dyrdy, aż kurz je zakrył obłokiem.

A potem włókł się ciężko po piaszczystej drodze Żyd szmaciarz, pchał przed sobą taczkę dobrze naładowaną, bo raz w raz przysiadł i ciężko dyszał.

- Co tam słyszeć, Moszku?

- Co słyszeć?... Komu dobrze, to i dobrze słyszeć...

Kartofle, chwala Bogu obrodziły, żyto sypie, kapusta będzie. Kto ma kartofle, kto ma żyto, kto ma kapustę temu dobrze słyszeć! - Pocałował księdza w rękaw, założył na kark pas od taczek i pchał dalej, lżej już, bo zaczynał się spadek łagodny.

A potem szedł środkiem drogi w kurzawie, bo zamiatał nogami, ślepy dziad, prowadzony przez tłustego kundla na sznurku.

A potem leciał od lasu chłopak z butelką, ale ten ujrzawszy księdza przy drodze okrążył go z dala i biegł na przełaj pól do karczmy.

To znowu chłop z sąsiedniej wsi wioził zboże do młyna albo Żydówka pędziła stado kupionych gęsi.

A każdy pochwalił Boga, zamienił słów parę i szedł w swoją drogę, odprowadzany życzliwym słowem i spojrzeniem księdza, któren, że już słońce było coraz niżej, powstał i krzyknął do Walka:

- Doórz do brzózek i do domu... na nic się konie zmachają.

I poszedł wolno miedzami, odmawiał półgłosem modlitwy i jasnym, pełnym kochania spojrzeniem ogarniał pola...

...Rzędy kobiet czerwieniły się na kopaniskach... rozlegał się gruchot zsypywanych do wozów kartofli... miejscami orano jeszcze pod siew... stada krów srokatych pasły się na łąkach... długie, popielate zagony rdzawiły się młodą szczotką zbóż wschodzących... to gęsi niby płaty śniegów bieleły się na wytartych, zrudziałych łąkach... krowa gdzieś zaryczała... ogniska się paliły i długie, niebieskie warkocze dymów ciągnęły się nad zagonami... Wóz zaturkotał albo pług zgrzytnął o kamienie... to cisza znowu obejmowała ziemię na chwilę, że słyszeć było głuchy bełkot rzeki i turkot młyna, schowanego za wsią, w zbitym gąszczu drzew pożółkłych... to znowu śpiewka się zerwała lub krzyk nie wiadomo skąd powstały leciał nisko, tłukł się po brzdach i dołach i tonął bez echa w jesiennej szarości, na ścierniskach oprzędzonych srebrnymi pajęczynami, w pustych sennych drogach, nad którymi pochylały się jarzębiny o krwawych, ciężkich głowach... to włóczono role i tuman szarego, przesłonecznionego kurzu podnosił się za bronami, wydłużał i pełzał aż na wzgórze i opadał, a spod niego niby z obłoku wychylał się bosy chłop, z gołą głową, przewiązany płachtą - szedł wolno, nabierał ziarna z płachty i siał ruchem monotonnym, nabożnym i błogosławiącym ziemi, dochodził do końca zagonów, nabierał z worka zboża, nawracał i z wolna podchodził pod wzgórze, że najpierw głowa rozczochrana, potem ramiona, a w końcu już był cały widny na tle słońca z tym samym błogosławiącym ruchem siejby; z tym samym świętym rzutem rozrzucał zboże, co jak złoty pył kolistym wirem padało na ziemię.

Ksiądz szedł coraz wolniej, czasem przystawał, aby odetchnąć, to znowu obejrzał się na swoje siwki, to przyglądał się chłopakom, obtłukującym kamieniami ogromną gruszę, aż hurmem przybiegli do niego i chowając ręce za siebie całowali w rękaw sutanny.

Pogłodził ich po głowach i rzekł upominająco:

- Nie łamcie ino gałęzi, bo na bezrok gruszek mieć nie będziecie.
- My nie rzucalim na gruszki, ino że tam jest gapie gniazdo - ozwał się śmielszy.

Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i zaraz znowu przystanął przy kopaczkach.

- Szczęść Boże w robocie!
- Boże zapłać, dziękujemy! - odpowiedzieli razem, prostując się, i ruszyli wszyscy do ucałowania rąk dobrodzieja kochanego.

- Pan Bóg dał latoś urodzaj na kartofle, co? - mówił wyciągając otwartą tabakierkę do mężczyzn - brali sumiennie i z szacunkiem w szczypty, nie śmiejąc przy nim zażywać.

- Juści, kartofle kiej kocie łby i dużo pod krzami.
- Ha, to świnię zdrożęją, bo jaki taki chciał będzie wsadzać do karmika.
- Już i tak drogie; na zarazę latem wyginęły, a i do Prus kupują.
- Prawda, prawda. A czyje to ziemniaki kopiecie?
- A Borynowe.
- Gospodarza nie widzę, tom i rozeznać nie rozeznał.
- Ociec pojechali z moim ano do boru.

- A to wy, Anna, jakże się macie? - zwrócił się do młodej, przystojnej kobiety w czerwonej chustce na głowie, która, że ręce miała uwalane ziemią, przez zapaskę ujęła jego rękę i pocałowała.

- Jakże się ma ten wasz chłopak, com go to we żniwa chrzcil?
- Bóg zapłać dobrodziejowi, zdrów, się chowa i coś niecoś bałykuje.
- No, zostańcie z Bogiem.
- Panu Bogu oddajem.

I ksiądz skręcił na prawo, ku cmentarzowi, który leżał z tej strony wsi, przy topolami wysadzonej drodze.

Długo za nim spoglądali w milczeniu, na jego smukłą, pochyloną nieco postać, dopiero gdy przeszedł niskie, kamienne ogrodzenie cmentarza i szedł między mogiłami ku kaplicy, co stała wśród pożółkłych brzoź i klonów czerwonych, rozwiązały się im języki.

- Lepszego to i na całym świecie nie znaleźć - zaczęła któraś z kobiet.

- Juści, chciały go też zabrać do miasta... żeby ociec z wójtem nie jeździli prosić biskupa, to byśwa go i nie mieli... Kopta no, ludzie, kopta, bo do wieczora mało daleko, a ziemniaków mało wiele! - mówiła Anna wysypując swój kosz na kupę żółcącą się na rozkopanej ziemi, pełnej zeschniętych łęcin.

Wzięli się chyżo za robotę i w cichości, że ino słyhać było dziabanie motyczek o twardą ziemię, a czasem suchy dźwięk żelaza o kamień. Czasami ktoś niektoś wyprostował zgięty i zbolały grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na siejącego przed nimi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza, przed się stojącego.

Ludzi. było kilkanaścioro, przeważnie starych kobiet i komorników, a za nimi bieleły się dwa krzyżaki, u których w płachtach leżały dzieci raz w raz popłakując.

- A tak i stara poszła we świat - zaczęła Jagustynka

- Kto? - spytała Anna podnosząc się.

- A stara Agata.

- Na żebry...

- Juści, że na żebry! Hale! nie na słodkości, ino na żebry. Obrobiła krewniaków, wysłużyła się im bez lato, to już ją puściły na wolny dech.

- Wróci na zwiesnę, to im naznosi w torebeczkach, a to i cukru, a to i harbaty, a to i grosza coś niecoś; zaraz ją będą miłowały, każą spać w łóżku, pod pierzyną, robić nie dadzą, coby se wypoczena. A wujna, a ciotka jej mówią, póki tego ostatniego szelążka od niej nie wyciągną... A jesienią to już la niej miejsca nie ma w sieni ani we chliwie. Scierwy, psie krewniaki i zapowietrzzone - wybuchała Jagustynka i taki gniew ją przejął, że stara jej twarz posiniała.

- Biednemu to zawsze na ten przykład wiatr w oczy dorzucił jeden z komorników, stary, wynędzniały chłop z krzywą głową.

- Kopta no, ludzie, kopta - popędzała Anna nierada tokowi rozmowy.

Jagustynka, że to długo nie mogła bez gadania, to spojrzała na siejącego i rzekła:

- Te Paczesie to stare chłopcy, że jaże im już kłaki na łbach puszczaają...

- Ale kawalery zawdy - rzekła insza kobieta.

- A tyle dziewczuch się starzeje albo i służby szukać idzie...

- Przeciech, a one mają cały półwłóczek i jeszcze łączkę za młynem.

- Juści, abo to im matka da się żenić... abo to im popuści...

- A kto by krowy doił, kto by opierał, kto by kole gospodarstwa abo i śwyrń chodził...

- Obrządzają se matulę i Jagusię, bo jakże, Jagna kiej pani jaka, kiej i druga dziedziczka, ino się stroi... a myje, a w lusterku przegląda, a warkocze zaplata.

- I patrzy ino, kogo by puścić pod pierzynę, któren

aby mocny! - dorzuciła znowu ze złym uśmiechem Jagustynka.

- Józek Banachów posyłał z wódką - nie chciała.

- Cie... dziedziczka zapowietrzona.

- A stara ino w kościele siaduje, a na książce się modli, a na odpusty chodzi!

- Prawda, ale czarownica to też jest; a Wawrzonowym krowom to chto mleko odebrał, co? A jak na Jadamowego chłopaka, co jej śliwki w sadku obrywał, jakieś złe słowo powiedziała, to mu się zaraz taki kołtun zbił i tak go pokręciło, Jezus!

- I ma tu błogosławieństwo Boże być nad narodem, kiej takie we wsi siedzą...

- A drzewiej, kiej jeszcze krowy pasalam tatusiowe, to baczę, że takie ze wsi wyganiali - dodała znowu Jagustynka.

- Tym się krzywdą nie stanie, bo ma ją kto strzec...i niżając głos do szeptu, a patrząc z ukosa na Annę, co kopała na przedzie pierwszą z kraja redlinę, szeptała Jagustynka sąsiadkom:

- A pono pierwszy do obrony to ano chłop Hanki... cieka się on za Jagną kiej ten pies...
- Laboga... moiściowy... cudeńka prawicie... Hale! to by już grzech i obraza boska była...
- szeptały do siebie kopiąc i nie podnosząc głów.

- A bo to on jeden... a to jak za suką, tak chłopaki za nią ganiają.
- A bo też urodę ma, to ma; wypasiona kiej jałowica, biała na gębie, a ślepie to ma rychtyk jak te lnowe kwiatki... a mocna, że i niejeden chłop jej nie uradzi... ,
- A bo to co robi, ino żre a wysypia się, to nie ma urodna być...

Milczały długą chwilę, bo trzeba było kartofle wysypywać na kupę.
A potem już z rzadka pogadywały to o tym, to o owym aż i zamilkły, bo któraś dojrzała, że od wsi rżyskiem bieży Józka Borynianka. ,

Jakoż i ta nadbiegała zziajana i już z daleka krzyczała:
- Hanka, a chodźcie ino do chałupy, bo krowie się cosik stało.
- Jezus Maria, a której?...
- A to ci graniastej... a to ci... tchu złapać nie mogę..-
- Loboga, aże mnie zatknęło, myślałam, że mojej...-zawołała z ulgą Anna.
- Witek ją co dopiero przygnał, bo gajowy ich wypędził z zagajów. Krowa się zlachala, bo taka spaśna... i zaraz przed oborą upadła... i ani pić nie pije, ani żreć nie żre, ino się tarza, a ryczy, że loboga!

- Ojca to nie ma?
- Ni, tatulo jeszcze nie przyjechali. O Jezus, mój Jezus, taka krowa, co na raz dobrze i garniec mleka dawała. A chodźcież rychło.
- Duchem ci lece, w to oczymgnienie.

Jakoż i wyjęła dziecko z płachty, nadziała mu czapeczkę z kutasikami, okręciła zapaską i poszła żywo, a taka była strwożona wieścią, że nawet nie opuściła wełniaka, zapomniała do cna, aż jej odsłonięte do kolan nogi bielily się po roli. Józka biegła przodem.

A kopacze, każdy okrakiem nad swoją redliną, posuwali się z wolna, kopiąc leniwiej, jako że nikt nie pilił i nie poganiał.

Słońce już się przetaczało na zachód i jakby rozżarzone biegiem szalonym czerwieniło się kołem ogromnym i zsuwało za czarne, wysokie lasy. Mrok gęstniał i pełzał już po polach; sunął bruzdami, czał się po rowach, wzbierał w gąszczach i z wolna rozlewał się po ziemi, przygaszał, ogarniał i tłumiał barwy, że tylko czuby drzew, wieże i dachy kościoła gorzały płomieniami.

A niektórzy ściągali już z pól do domów.

Głosy ludzkie, rżenia, porykiwania, turkoty wozów coraz ostrzej brzmiały w cichym, omroczonym powietrzu.

Sygnaturka na kościele zaczęła dzwonić Anioł Pański spizowym świergotem, że ludzie przystawali i szept pacierzów, niby szemranie opadających listków, padał w mroki.

Ze śpiewami a pokrzykami wesołymi spędzano bydło z pastwisk, co ciżbą szło drogami w tumanach kurzawy, że tylko raz w raz wychylały się z niej głowy potężne i rogi krzaczaste.

Owce pobekiwały tu i ówdzie, to gęsi zerwały się z pastwisk i stadami leciały, całe w zorzach zachodu zatopione, że tylko krzyk przenikliwy znaczył je w powietrzu.

- Ale szkoda, ta graniasta to sielna krowa.
- I... nie na biedaka trafiło.
- A tak i bydlątka żal, co się zmarnuje.
- Gospodyni Boryna nie ma, to wszystko leci kiej przez sito.
- A bo to Hanka nie gospodyni?

- La siebie... jakby na komornym u ojca siedzą, tu juści patrzą, aby ino na swoją stronę coś niecoś urwać, a ojcowego niechta pies pilnuje.

- A Józka, że to jeszcze skrzat głupi, to i cóż poradzi?

- Hale, abo to Boryna nie mógłby gront oddać Antkowi, co?

- A sam pójdzie do nich na wycug, co?... Starzyście. Wawrzku, a do cna jeszcze głupi - zaczęła żywo Jagustynka. - Ho, ho, Boryna jeszcze krzepki, może się ożenić, a głupi by był, żeby dzieciom zapisywał.

- Hale, krzepki to juści, że jest, ale już ma ze sześćdziesiąt років.

- Nie bój się, Wawrzku, każda młódka pójdzie za niego, niechby tylko rzekł.

- Już dwie żony pochował.

- Niech se pochowa i trzecią, Panie Boże mu pomóż, a niech dzieciom, póki żyw, nie daje ni staja, ni liszki jednej, ni tyle, co trepem przydepnie. Ścierwy, wyrzuciłyby go, kiej moje mnie. Dałyby mu wycugi że na wyrobek by chodził, z głodu by zdychał abo i na żebry, po proszonym szedł. Oddaj ino, co masz, dzieciom - to ci oddadzą; rychtyk ci tego starczy na sznureczek abo i na ten kamień do szyi...

- Ludzie, a to czas do domu, mroczeje.

- Czas, czas! Słońce już zaszło.

Pozbierali prędko motyczki, koszyki, to dwojaki od obiadów i szli wolno gęsiego miedzą, pogadując coś niecoś, a tylko stara Jagustynka wykrzykiwała wciąż namiętnie na dzieci własne, a potem już i na wszystkich pomstowała.

A równo z nimi jakaś dziewczyna gnała maciorę z prosiętami i śpiewała ciekawym głosem:

Aj, nie chodź kiele woza,

Aj, nie trzymaj się osi,

Aj, nie daj chłopu gęby,-

- Cie, głupia, wrzeszczy, kiejby ją kto ze skóry obdzierał

ROZDZIAŁ 2

Na Borynowym podwórku, obstawionym z trzech stron budowlami gospodarskimi, a z czwartej sadem, który go oddzielał od drogi, już się zebrało dość narodu; kilka kobiet radziło i wydziwiała nad ogromną czerwono-białą krową, leżącą przed oborą na kupie nawozu.

Stary pies, kulawy nieco i z oblaźłą na bokach sierścią, oganiał graniastą, obwąchiwał ją, szczekał, to wypadał w opłotki i gnał dzieci na drogę, co się były wieszały na płotach i zazięrały ciekawie w obejście, albo docierał do maciory, co legła pod chałupą i rozwalona jęczała cicho, bo ssały ją białe, młode prosięta.

Hanka nadbiegła właśnie zziębnięta, przypadła do krowy i jęła ją głaskać po gębuli i łbie.

- Granula, biedoto, granula! - wołała łzawo, aż buchnęła płaczem i lamentem serdecznym.

A kobiety radziły raz w raz nowe ratowanie chorej; to sól rozpuszczoną wlewali jej w gardło, to topiony z poświęcanej gromnicy воск z mlekiem; radził ktosik mydła z serwatką - insza znowu wołała, żeby krew puścić-ale krowie nic nie pomagało, wyciągała się coraz dłużej, niekiedy podnosiła łeb i porykiwała długo, jakby o ratunek, boleśnie, aż jej piękne oczy o białkach różowych mętniały mgłą i ciężki, rogaty łeb opadał z wysilenia, że ino wysuwała ozór i polizywała ręce Hanka.

- A może by Ambroży co poradził? - zaproponowała któraś.

- Prawda, na chorobach on jest znający - zawtórowali.

Bieżyj no, Józia! Na Anioł Pański dzwonili, to musi jeszcze być przy kościele Laboga, a jak ociec nadjadą będzie to pomstowanie, będzie. - A przeciech my niczego niewinowate! - narzekała płaczliwie.

A potem siadła na progu obory, wsadziła chłopakowi w usta, bo popłakiwał, białą, pełną pierś i z trwogą niezmierną spoglądała na krowę rżącą, to przez opłotki na drogę i nasłuchiwała.

W pacierz abo i dwa wpadła Józia z krzykiem, że Jambroży już idą.

Jakoż i przyszedł zaraz dziad może stuletni, prosty jak świeca, twarz miał suchą, pomarszczoną jak kartofel na zwiesnę i szarą takąż, wygoloną i pociętą szramami, włosy białe jak mleko kosmykami opadały mu na czoło i kark, bo był z gołą głową.

Poszedł prosto do krowy i dokumentnie ją obejrzał.

- Oho, widzę, że świeże mięso jedli będziesz.

- A dyć jej pomóżcie co, wylekujcie, a toć krowa ze trzysta złotych warta - i dopiero po ciełcu, a dyć pomóżcie! O mój Jezu, mój Jezu! - zawołała Józia.

Ambroży wyjął z kieszeni puszczało, powecował je po cholewie, przyjrzał się pod zorzę ostrzu i przeciął granulę arterie pod brzuchem - ale krew nie trysnęła, a ciekła wolno czarna, spieniona.

Stali wszyscy dokoła pochyleni i patrzyli bez oddechu.

- Za późno! Oho, bydlatko ostatnią parę puszcza - rzekł uroczyście Ambroży. - Nic to, ino paskudnik albo i co innego... trza było zaraz, kiej zachorzała... ale te baby to ino juchy do płakania są mądre, a jak trza radzić, to w bek kiej owce. - Splunął pogardliwie, obszedł krowę, zajrzał jej w oczy, przyjrzał się ozorowi, obtarł zakrwawione ręce o jej miękką, lśniąca skórę i zabierał się do odejścia.

- Na ten pochówek dzwonił nie będę; zadzwoniła w garki sami.

- Ociec z Antkiem! - krzyknęła Józka i wybiegł na drogę naprzeciw, bo głuchy, ciężki turkot rozległ się z drugiej strony stawu, gdzie z rozczzerwienionej zorzam zachodu kurzawie czerniał długi wóz i konie.

- Tatulu, a to... graniasta już zdycha - wołała, dobiegając do ojca, który skręcał właśnie na tę stronę stawu. Antek szedł w końcu i podtrzymywał, bo wieźli długą sosnę.

- Nie pleć byle czego po próżnicy - mruknął podcinając konie.

- Jambroży puszczały krew i nic... i wosk topiony lali jej w gardziel i nic... i sól... i nic... pewnie paskudnik... Witek pedał, co borowy wygnał ich z zagajów i co granulę zara się pokładała i stękała, jaże ją i przygnał...

- Graniasta, najlepsza krowa, ażeby was, ścierwy, pokreśliło, kiej tak pilnujecie! - rzucił lejce synowi i z batem w garści pobiegł przodem.

Baby się rozstały, a Witek, który cały czas coś najspokojniej majstrował pod chałupą, skoczył w ogród i przepadł ze strachu, nawet Hanka podniosła się na progu i stała bezradna, strwożona.

- Zmarnowali mi bydło!... - wykrzyknął wreszcie stary, obejrzawszy krowę. - Trzysta złotych jak w błoto! Do miski to ścierwów aż gęsto, a przypilnować nie ma kto. Taka krowa, taka krowa! A to człowiek ruszyć się z domu nie może, bo zaraz szkoda i upadek...

- Dyć ja od południa samego byłam przy kopaniu - tłumaczyła się cicho Hanka.

- A bo ty co kiej widzisz! - krzyknął z wściekłością. - A bo ty stoisz o moje!... Taka krowa, taki haman, że i drugiej nie w każdym dworze by znalazł!

Wyrzekał coraz żałośniej i obchodził ją, próbował podnieść, ciągał za ogon, zaglądał w zęby, ale krowa dyszała chrapliwie i coraz ciężiej, krew przestała płynąć, tylko krzepła w czarne, spieczone żużle - wyraźnie już zdychała.

- Nie ma co, ino ją trza dorznąć, choć tyła się wróci! - rzekł w końcu, przyniósł kosę ze stodoły, poostrzył ją nieco na taczalniku, co stał pod okapem obory, rozdział się ze spencerka, zawinął rękawy koszuli i zabrał się do zarzynania...

Hanka z Józią buchnęły płaczem, bo granula, jakby czując śmierć, uniosła z trudem łeb, zaryczała głucho i... padła z przerzniętym gardłem, grzebiąc ino nogami... Pies zlizywał krzepnącą na powietrzu krew, a potem skoczył na doły od kartofli i czekał na konie stojące z wozem w opłotkach, bo tam je zostawił Antek, a sam spokojnie przyglądał się jatce.

- Nie bucz, głupia! Ojcowa krowa to nie nasza strata powiedział ze złością do żony i zabrał się do wyprzegania i rozbierania koni, które już Witek ciągnął za grzywy do stajni.

- Ziemniaków w polu dużo? - zagadnął Boryna, myjąc pod studnią ręce.

- A bogać tam mało, będzie ze dwadzieścia worków'.

- Trzeba dzisiaj zwieźć.

- Hale, zwoźcie se sami, ja już kulasów nie czuję ni krzyża... a i licowy kuleje na przednią.

- Józka, zwołaj no Kubę od kopania, niech żróbkę założy za licowego i trza dzisiaj zwieźć. - Deszcz ano być może.

Ale wrzał złością i zmartwieniem, bo coraz to przystawał przed krową i kłął siarczyście, a potem łąził po podwórzu i zaglądał to do obory, to do stodoły, to pod szopę i sam nie wiedział, czego szuka, żarła go ano taka strata.

- Witek! Witek! - jął wołać i odpinał szeroki rzemień z bioder, ale chłopak się nie pokazał.

Ludzie się porozchodzili, bo rozumieli, że taka szkoda i taka markotność musi się skończyć bitką, jako że do niej Boryna był skory zazwyczaj, ale stary kłął tylko dzisiaj i poszedł do izby.

- Hanka, a daj no jeść! - krzyknął na synową w otwarte okno i poszedł na swoją stronę.

Dom był zwykły, kmiecy - przedzielony na przestrzał sienią ogromną; szczytem wychodził na podwórze, a frontem czterookiennym na sad i na drogę.

Jedną połowę od ogrodu zajmował Boryna z Józią, a na drugiej siedzieli Antkowie. Parobek z pastuchem sypiali przy koniach.

W izbie było już czarniawo, bo przez małe okienka, przysłonięte okapem i zagajone drzewami, mało przeciskało się światła, a i mroczyło już na świecie, że tylko połyskiwały szkła obrazów świętych, co rzędem czerniły się na bielonych ścianach; izba była duża, ale przygnieciona czarnym pułapem i ogromnymi belkami pod nim, i tak zastawiona różnym sprzętem, że tylko koło wielkiego komina z okapem, co stał przy siennej ścianie, było nieco swobodnego miejsca.

Boryna się rozzał i poszedł do ciemnego alkierza, zamykając drzwi za sobą, odsunął z małej szybki deskę, że zachodnie światło krwawym brzaskiem zalało alkierz.

Izdebka pełna była różnych rupieci i statków gospodarskich, na drążkach, w poprzek przewieszonych, wisały kozuchy, czerwone pasiaste wełniaki, białe sukmany, to całe pęki motków szarej przędzy i zwinięte w kłęby brudne runa owiec i worki z pierzem. Wyciągnął białą sukmanę i pas czerwony, a potem długo czegoś szukał w beczkach napęcznionych zbożem, to w kącie pod stosem starych rzemieni i żelastwa, aż usłyszawszy Hanke w pierwsze izbie, zaciągnął deskę na okienko i znowu coś długo grzebał w zbożu.

A na ławie pod oknem już się dymiło jadlo; od ogromnego tygla z kapustą rozchodził się zapach słoniny, jak od jajecznicy, której niegorsza miseczka stała obok.

- Gdzie Witek pasł krowy? - zapytał, krając potężny glon chleba z bochna jak przetak wielkiego.

- Na dworskich zagajach i borowy go stamtąd wygonił.

- Ścierwy, zmarnowali mi bydlę.

- Przecięch, tylo krowa, to się złachała w tym gonieniu, że się w niej cosik zapaliło.

- Dziadaki, psiekrwie. Paśniki są nasze, w tabeli stoi kiej wół a one ciągiem wyganiają i pedają, co ich.

- Drugich też powyganiali, a chłopaka Walkowego tak zbił, tak zbił...

- Ha! do sądu trza abo i do komisarza. Trzysta złotych warta, jak nic.
- Pewnie, pewnie - przytakiwała rada niezmiennie, że ociec się udobruchali.
- Powiedzcie Antkowi, że skoro ziemniaki zwieją, to niech się wezmą do krowy, trza ją obłupić i poćwiertować. Przyndę od wójta, to wama pomogę. W sąsieku u belki ją powiesić - będzie przepiecznionie ode psów lebo jenszej gadziny...

Skończył wrychle jeść i wstał, bych się nieco przyogarnąć, ale takie ociążenie poczuł w sobie, takie ciągotki w kościach, taką senność, że jak stał, rzucił się na łóżko by się z pacierz przedrzymać.

Hanka poszła na swoją stronę i krzątała się po izbie, i coraz to wychylała się przez okno spojrzeć na Antka, który pożywiał się na ganku, przed domem; odsadził się od miski obyczajnie i z wolna ciągnął łyżkę za łyżką, skrzybiąc mocno o wręby i spozierając czasami przed się na staw - bo zachód już był i na wodzie czyniły się złotopurpurowe tęczę i płomienne koliska, przez które niby białe chmurki przepływały z gęgotem gęsi, rozlewając dziobami sznury krwawych pereł.

Wieś zaczynała się mrowić i wrzeć ruchem; na drodze z obu stron stawu, ciągle podnosiły się kurzawy i turkoty wozów, i porykiwania krów, które wchodziły do stawu po kolana, piły wolno i podnosiły ciężkie łby, aż cienkie strugi wody, niby bicze opali, opadały im z szerokich gębów.

Gdzieś, od drugiego końca stawu, słychać było trzask kijanek bab piorących i głuchy, monotonny łopot cepów w jakiejś stodole.

- Antek, urąb no pieńków, bo sama nie poradzę-prosiła nieśmiało i z obawą, bo nic to nie było u niego skłąć abo i zbić z leda powodu.

Nie odrzekł nawet, jakby nie słyszał, że ona nie śmiała powtórzyć i już sama poszła udziabywać trzaski z pni - i milczał zły, zmęczony całodzienną pracą srodze, i patrzył teraz na staw, na drugą stronę, w duży dom, świecący białymi ścianami i szybami okien, bo zachód bił w niego. Pęki czerwonych georginii wychylały się zza kamiennego płotu i paliły jaskrawo na tle ścian, a przed chałupą, w sadzie, to między opłotkami uwijała się wysoka postać, ale twarzy rozeznąć nie można było, bo co chwila ginęła w sieni, to pod drzewami.

- Śpią se kiej dziedzic, a ty, parobku, rób - mruknął ze złością, bo ojcowe chrapanie rozlegało się aż na ganku.

Poszedł na podwórze i raz jeszcze przyjrzał się krowie.

- Juścik, ojcowa krowa ale i nasza strata - rzekł do żony, która, że to Kuba przywiózł ziemniaki z pola, rzuciła łupanie drzewa i szła do wozu.

- Doły jeszcze nie wyporządzone, to trza zesuć na klepisko.

- Kiej ociec mówili, żebyś na klepisku krowę z Kubą obdarł i wyporządził.

- Zmieści się i krowa, zmieszczą się i ziemniaki-szeptał Kuba, otwierając wierzeje sto-
doły na roścież.

- Ja ta nie jestem drzyk, cobym krowę obłupiał ze skóry - rzucił Antek.

I już nie mówili, słychać było tylko gruchot zsypywanych na klepisko ziemniaków.

Słońce zgasło, wieczór się robił, świeciły jeszcze zorze łunami zakrzeplej krwi i ostyglego złota i posypywały, na staw jakby pyłem miedzianym, że wody ciche drgały rdzawą łuską i szmerem sennym.

Wieś zapadała w mrokach i w głęboką, martwą ciszę jesiennej wieczora. Chałupy malały, jakby się przypłaszczały do ziemi, jakby się tuliły do drzew sennie pochylonych, do płotów szarych.

Antek z Kubą zwozili ziemniaki, a Hanka z Józią uwijały się koło gospodarstwa, bo gęsi trza było zagnać na noc, to świnię nakarmić, bo z kwikiem cisnęły się do sieni i wsadzały żarłoczne ryje do cebratek, gdzie stało picie dla bydła, to krowy wydoić, bo właśnie Witek przygnał resztę z pastwiska i zakładał im za drabiny po garści siana, żeby spokojniej stały przy dojeniu.

Jakoż Józia zabrała się doić pierwszą z brzegu, gdy Witek wylazł od żłobów i spytał cicho, trwożnie:

- Józia, a gospodarz źli?...

- O Jezu, spierą cię, chudziaku, spierą... tak pomstowali - odpowiedziała, wytykając ku światłu głowę i osłaniając ręką twarz, bo krowa chlastała ogonem, oganiając się od much.

- Ale... bom to winowaty... ale... borowy mię wygnał i jeszcze chciał kijem sprać, inom uciekł... a granula zarno się jęła pokładać, a porykiwać, a stękać, żem do chałupy przygnał.

Zamilkł, ale słysząc było ciche, bolesne chlipanie i siurkanie nosem.

- Juści, że nie pierwszyczna, ale zawdy tak się bojam...bo nijakiej wytrzymałości na bicie nie mam...

- Głupiś, parobek tyli, a boja się... już ja przełożę tatusiowi.. .

- Przełożysz, Józia? - zawołał radośnie - bo to borowy mię wygnał z krowami, bo...

- Przełożę, Witek, ino się już nie boja!

- Kiej tak... to naści tego ptaka! - szepnął z radością i wyjął z zanadru drewniane cudło. - Obacz ino, jak się sam ruchu.

Postawił go na progu obory, nakręcił, i ptak zaczął się kiwać, podnosić nogi długie i spacerować...

- Bociek, Jezu, a dyć się ruchu kiej żywy! - zawołała zdumiona, odstawiała szkopek, przykucnęła przed progiem i z najżywszą radością i zdumieniem patrzyła.

- Jezu! to z ciebie mechanik! I to się sam tak ruchu, co?

- A sam, Józia, ino go kołeczkiem nakręcę, to już se spaceruje kiej dziedzic po obiedzie - o... - odwrócił go i ptak poważnie a śmiesznie zarazem podnosił długą szyję podnosił nogi i szedł.

Zaczęli się śmiać serdecznie i bawić jego ruchami tylko Józia czasami podnosiła oczy na chłopaka - podziw w nich był a zdumienie.

- Józia! - rozległ się głos Boryny sprzed chałupy.

- A czegoś? - odkrzyknęła.

- Chodzi ino.

- Kiej dojem krowy.

- Pilnuj tu, bo idę do wójta -powiedział, wsadzając głowę do ciemnej obory - nie ma tutaj tego znajdka co?

- Witka?... ni, pojechał po ziemniaki z Antkiem, bo Kuba miał urznąć sieczki dla koni... - odpowiedziała prędko i trochę niespokojnie, bo Witek przycupnął za nią ze strachu.

- Ścierwa ten chłopak, to ino pasy drzeć, żeby zmarnować taką krowę - mruczał powracając do izby, gdzie się odział w nową kapotę białą, wyszywaną na wszystkich szwach czarnymi tasiemkami, nadział wysoki czarny kapelusz, okręcił się czerwonym pasem i poszedł drogą nad stawem ku młynowi.

- Roboty jeszcze tyła... zwózka drzewa... siew nie skończony... kapusta w polu... ściółka nie wygrabiona... podorać by trza na kartofle... dobrze by i pod owsy... a tu jedź na sądy... Laboga, że to człek nigdy obrobić się nie obrobi, ino ciągiem jak ten wół w jarzmie... że i wyspać się nie ma czasu ni odpocząć... - rozmyślał. - A tu i ten sąd... Tłumok ścierwa, hale, ja z nią sypiałem... żebyś ozór straciła... lakudro jakaś... suka... - splunął ze złością, nabił fajeczkę machorką i długo pocierał zwilgotniałe zapalki o portki, nim zapalił.

Pykał od czasu do czasu i włókł się wolno; bolały go wszystkie kości i żale za krową raz w raz go markociły i rozbierały.

A tu ani odbić się na kim, ani wyzalić, nic... sam jak ten kołek; sam o wszystkim myśl, sam deliberuj łbem, sam kiele wszystkiego obiegaj kiej ten pies... a do nikogój słowa przemówić i rady znikąd ni pomocy - a ino strata i upadek... a wszystkie to kiej te wilki za owcą... a ino skubią, a patrzą, kiedy ozerwą w kawały...

Ciemnawo już było we wsi, przez przywierane drzwi i okna, że to wieczór był ciepły, buchały smugi ognisk i zapach gotowanych ziemniaków i żuru ze skwarkami; gdzieś jedli w sieniach albo i zgoła przed domami, że ino skrzybot łyżek słyhać było a pogadywania.

Boryna szedł coraz wolniej, bo ociężało go rozdrażnienie, a potem przypomnienie nieboszczki, co ją na zwieszę był pochował, ułapiło go za grdykę.

Ho! ho!... przy niej, co ją wspominam wieczorem w dobry sposób, nie przygodziłoby się tak granuli... gospodyni to była, gospodyni!... Juści, że i mamrot, i przeklętnica też, że i dobrego słowa nikomu dać nie dała i ciągiem się z babami za łby wodziła... ale zawsze żona i gospodyni! - Tu westchnął pobożnie na jej intencję, i żal go jeszcze większy dusił, bo przypominał, jak to bywało...

Przyszedł z roboty, spracowany - to i jeść tłusto dała, i często gęsto kielbasy podtykała kryjomo przed dzieciskami... A jak się wszystko darzyło!... i cielaki, i gąski, i prosiaki... że co jarmarek było z czym jeździć do miasta, i grosz był zawsze gotowy, na zakład z samego przychówku... A już co kapusty z grochem, to już jensza zgoła tak nie potrafi...

A teraz co?...

Antek ino na swoją stronę ciągnie, kował też wypatruje, aby co chycić, a Józka? Skrzat głupi, któremu plewy jeszcze we łbie, co i nie dziwota, bo dzieusze mało co na dziesiąty rok idzie... Hanka kiej ta ćma łązi, a choru je jeno, i tyle robi, co ten pies zapłacze...

Toć i marnieje wszystko... granule trza było dorznać... we żniwa wieprzak zdechl... wrony gąski tak przebrały, że z połowa ostała!... Tyle marnacji, tyle upadku!... Przez sito wszycko leci, przez sito...

- Ale nie dam! - wykrzyknął prawie głośno - póki rucham tymi kulasami, to ani jednej morgi nie odpiszę i do waju na wycug nie pójde...

Ino Grzela z wojska do dom powróci, to niechta se Antek na żoniną gospodarkę wróci... nie dam...

- Niech będzie pochwalony! - zabrzmiał jakiś głos.

- Na wieki!... - odrzucił machinalnie i skreślił z drogi w szerokie i długie opłotki, bo wójtowa osada leżała trochę w głębi.

W oknach się świeciło i pieski ujadać poczęły.

Wszedł prosto do świetlicy.

- Wójt doma? - zapytał tłustej kobiety, klęczącej przykołysce i karmiącej dziecko.

- Zarno wróć, pojechał po ziemniaki. Siadajcie, Macieju, a dyć i ci też czekają na niego - wskazała ruchem

brody na dziada siedzącego przy kominie; był to ten stary ślepiec, wodzony przez psa; czerwone światło szczap ostro opływało jego ogromną, wygoloną twarz, łysą czaszkę i szeroko otwarte oczy, zasnutę bielmem, nieruchomo tkwiące pod siwymi, krzaczastymi brwiami...

- Skąd to Pan Bóg prowadzi? - zapytał Boryna, siadając po drugiej stronie ognia.

- Ze świata, a skądże by, gospodarzu? - odpowiadał wolno rozlazłym, jęczącym, iście prośalnym głosem i nadstawiał pilnie uszów, a wyciągnął tabakierkę.

- Zażyjcie, gospodarzu.

Maciej zażył rzetelnie i kichnął raz po raz trzy razy, aż mu łzy w oczach stanęły.

- Tęga jucha! - i rękawem tarł załzawione oczy.

- Niech wam będzie na zdrowie. Peterburka, dobrze ano robi na oczy.

- Wstąpcie jutro do mnie, krowem dorznął, to się tam jaka sztuczka la was znaleźć znajdzie.

- Bóg zapłać... Boryna, widzi mi się, co?...

- A juści, żeście to rozeznali?... no, no.

- Po głosie ino, po gadaniu.

- Cóż ta we świecie słyhać? Wędrujecie ciągiem?

- Moiściewy, a cóż by! - A to źle, a to i dobrze, a to i różnie, jak we świecie. A wszyscy piszcza, a narzekają, jak przyjdzie dziadowi co dać abo i drugiemu, ale na gorzałę mają.

- Prawdę rzekliście, bo ano tak i jest.

- Ho, ho! tyle roków się człek telepie po tej świętej ziemi, to się i wie różnie.

- A gdzieście to podzieli tego znaję, co was prowadzał łoni? - zapytała wójtowa.

- Poszedł se ścierwa, poszedł, wyłuskał on mi dobrze torbeczki... Miałem coś grosza od ludzi ochfiarnych, com go niósł na wotywy do Częstochowskiej Panienki, to mi jucha odebrał i poszedł we świat! Cichoj, Burek! bo to pewnikiem wójt! - pociągnął sznurkiem i pies warczeć przestał.

Zgadł, bo wójt wszedł, bat rzucił w kąt i od progu wołał:

- Żono, jeść, bom głodny kiej wilk - jak się macie, Macieju; a wy czego, dziadu?...

- Ja do was, Pietrze, wedle tej mojej sprawy, co ma być jutro.

- Ja zaś se poczekam, panie wójcie. Każecie w sieniach - dobrze i tam będzie, a ostawicie przy ogniu, że to stary jestem, ostanę, a dacie tę miseczkę ziemniaków abo i chleba skibkę, to pacierz za was zmówię jeden abo i drugi... jakbyście dali gotowy grosz abo i dziesiątkę...

- Siedźcie se, dostaniecie i kolację, a chcecie, to zanocujcie...

I wójt siadł do miski, okrytej parą świeżo utłuczonych ziemniaków i polanych obficie skwarkarni, w drugiej donicy stało zsiadłe mleko.

- Siadajcie, Macieju, z nami, zjecie, co jest - zapraszała wójtowa, kładąc trzecią łyżkę.

- Bóg zapłać. Przyjechałem z boru, tom se już dobrze podjadł...

- Bierzcie się ano za łyżkę, nie zaszkodzi wam, teraz już wieczory długie...

- Długi pacierz i duża miska, jeszcze bez to nikto nie pomarł - rzucił dziad.

Boryna wzdragał się, ale w końcu, że słonina mocno raziła mu nozdrza, przysiadł się do ławki i pojadał z wolna, delikatnie, jak obyczaj kazał.

A wójtowa raz w raz wstawiała i dokładała kartofli, to mleka przylewała. Dziadowski pies się kręcił i skamlał zdziebko do jadła.

- Cicho, Burek, gospodarze ano jedzą... i ty dostaniesz, nie bój się... uspokajał go dziad i wciągał nozdrzami smakowitą woń, a przygrzewał ręce przy ogniu.

- To Jewka was podobno zaskarżyła - zaczął wójt, podjadłszy nieco.

- A ona ci! Żem to jej zasług nie wypłacił! Zapłaciłem, jak Bóg w niebie, i jeszcze ponadto z dobrego serca księdzu za chrzciny dał worek owsa...

- Ona powie, że ten dzieciak to...

- W imię Ojca i Syna! Wściekła się czy co?

- Ho, ho, stary z was, a jeszcze majster! - Wójtowie poczęli się śmiać.

- Staremu prędzej się przytrafi, bo praktyk ci jest i znający! - szeptał dziad.

- Cygani jak ten pies, anim ją tknął. Jeszcze by taki tłumok....taka pode płótem zdychała a skamlała, coby ją za samą warzę a kąt do spania wziąć, bo na zimę szło. Nie chciałem, ale nieboszka peda: „Weźmiem, przyda się w domu, co mamy przynajmować? będzie swoja pod ręką...” Nie chciałem ja, jako że zimą roboty nijakiej, a jedna gęba więcej do miski. Ale nieboszka pedo: „Nie turbuj się, umie pono wełniaki i płótno tkać, zasadzę ją i niechta se ścibie, zawsze coś uścibie”. No i ostała, odpasła się ino i zarno się postarała o przychówek... A kto w spółce, to już różnie gadali...

- Ona skarży na was.

- Zakatrupię ścierwę, cygana pieskiego!

- Ale do sądu trza wam iść.

- Pójdę. Bóg zapłać, żeście mi powiedzieli, bo wiedziałem ino, że o zasługi - ale zapłaciłem, na co świadków mam. A pyskacz zapowietrzony, a dzidówka! Laboga tyle umartwienia, że jaż chyba udziżyć nie udziżę a to mi i krowa padła, że dorznąć musiałem, roboty nie zakończone, a tu człowiek sam kiej ten palec.

- U wdowca to kiej między wilkami owca - powiedział znowu dziad. .

- O krowiem słyszał, mówili mi już na polu...

- To dworska sprawa, bo pono borowy wygnał z zagajów. Najlepsza krowa! Ze trzysta złotych wartała, zegnała się, bo ciężka była, zapaliły się w niej wątpia, żem dorznać musiał... Ale dworowi tego nie daruję... Podam do sądu.

Ale wójt zaczął mu tłumaczyć i przekładać, żeby się wstrzymał, jako w pierwszej złości zawsze się źle radzi, bo stał za dworem, a w końcu, żeby zwrócić rozmowę w inną stronę, mrugnął na żonę i powiedział:

- Bobyście się, Macieju, ożenili i miałby kto gospodarstwa pilnować.

- Kpicie czy co?... A dyc na Zielną skończyłem pięćdziesiąt i osiem roków. Co wama też w głowie, jeszcze tamta dobrze nie ostygła...

- Weźcie kobitę do swego wieku, a zaraz się wam zgoi wszystko - dodała wójtowa i jęła sprzątać ze stołu.

- Dobra żona głowy mężowej korona - dorzucił dziad, obmacując miski, które przed nim postawiła wójtowa.

Żachnął się Boryna, ale zamedytował głęboko, że mu to samemu do głowy nie przyszło. Boć jaka się tam kobieta nadarzy, a zawsze z nią lepiej niżli samemu biedować...

- Która i głupia jest, i niemrawa, która znów kłótnica, która do chłopskich kołtunów sięgająca, która paparuch a latawiec po muzykach i karczmach, a zawsze chłopu z nią lepiej i wygodą - ciągnął dziad, pojadając.

- Dopiero by na wsi wydziwiali - powiedział Boryna

- Hale - ludzie warna zwrócą krowę abo i co poradzą. abo i kiele gospodarstwa chodzić będą, abo się nad wami użalą - zagadła gorąco wójtowa.

- Abo i ciepłą pierzynę narządzą - zaśmiał się wójt. A we wsi tyle jest dziewuch, że jak się idzie między chałupami, to bucha kiej z pieca.

- Ale, widzisz go, rozpustnik... czego mu się zachciewa...

- A Zośka Grzegorzowa na ten przykład, śmigła, piękna i wiano niezgorsze.

- A cóż to Maciejowi potrza wiana, nie gospodarz to pierwszy we wsi?

- Kto by ta miał dobra a i grontu dosyć - zaoponował dziad.

- Ni, Grzegorzowa nie la nich - podjął wójt - za mdła i młódka to jeszcze.

- A Jędrkowa Kasia? - wyliczała dalej wójtowa.

- Zmówiona. Wczoraj Rochów Adam posyłał z wódką

- Jest ci jeszcze Stachowa Weronka.

- Mamrot, latawiec i jedno biedro ma grubsze.

- A wdowa po Tomku, jakże to jej?... całkiem jeszcze do żeniaczki...

- Troje dzieci, cztery morgi, dwa krowie ogony i stary kozuch po nieboszczyku

- A Ulisia tego Wojtka, co to za kościołem siedzi?...

- I... to la kawalera... z przychowkiem, chłopak mógłby już być do pasionki, ale Maciejowi tego nie potrza, ma już pastucha swojego.

- Jest ci jeszcze, jest tego nasienia panowego, ale ino wybieram takie, co by pasowały la Macieja.

- A zabaczyłaś o jednej, co by była la nich w sam raz.

- Którna?....

- A Jagna Dominikowa?

- Prawda, całkiem o niej przepomniałam.

- Sielna dziewucha, a rosła, że bez płot nie przejdzie, bo żerdki pod nią pękają... a piękna, biała na gębie, a urodna kiej jałowica.

- Jagna - powtórzył Boryna słuchający w milczeniu wyliczania - a to powiedają o niej, że łąsa na chłopaków.

- Ale, był to kto przy tym, to wie! Pleciuchy pletą, byle pleść, a wszystko ino przez zadróść - broniła mocno wójtowa

- Ja też nie powiedam sam z siebie, ino tak pogadują. Ale trza mi iść - poprawił pasa, wraził węgielek we fajkę i pyknął parę razy.

- Na którą to w sądzie? - zapytał spokojnie.

- Na dziewiątą napisane w powiestce. Musicie do dnia wstać, jeśli na piechty.

- I... żróbką se wolno pojadę. Ostańcie z Bogiem, dziękuję wama za pożywienie i som-siedzką radę.

- Idźcie z Bogiem, a pomyślcie, cośwa wama raili... Powiecie, to z wódką pójde do pani matki i jeszcze przed Godami sprawim wesele...

Boryna nie odrzekł nic, łypnął ino oczami i wyszedł.

- Jak stary młódkę bierze, diabeł się cieszy, bo profit z tego miał będzie - rzekł dziad poważnie, skrobiąc głośno po dnie miski.

Boryna wolno wracał i żuł w sobie rozważnie, co mu raili. Nie dał poznać po sobie tam u wójtów, że mu się ta myśl strasznie udała, bo jakże, gospodarz był, a nie żaden chłopak, co to ma jeszcze mleko pod nosem, a na wspominek o żeniaczce aż kwiczy i z nogi na nogę przydeptuje

Noc już ogarnęła ziemię, gwiazdy srebrną rosą pobłyskiwały z ciemnych, głuchych głębin, cicho było we wsi, psy tylko niekiedy poszczekiwały, a tu i ówdzie spoza drzew mżyły się słabe światełka... czasem wilgotny podmuch zawiał z łąk, że drzewa poczęły się lekko chygotać.

Boryna nie wrócił drogą, jaką był przyszedł, a tylko puścił się w dół, przeszedł most, pod którym woda z bełkotem przelewała się do rzeki i waliła głucho na młyn, i nawrócił na drugą stronę stawu - wody leżały ciche i lśniły się czarniawo, pobrzeżne drzewa rzucały na tafłę czarne cienie i jakby ramą obejmowały brzegi, a w pośrodku stawu, gdzie jaśniej było, odbijały się gwiazdy niby w zwierciadle stalowym.

Maciej sam nie wiedział, dlaczego nie poszedł prosto do domu, a wybrał dłuższą drogę, może aby przejść koło domu Jagny? a może aby zebrać nieco myśli i pomedytować.

- Juści, że byłoby niezgorzej! juści! A co tam o niej mówią, to taka prawda. - Splunął. - Sielna kobieta!- Dreszcz nim wstrząsnął, bo i chłód wilgotny szedł od stawów, a u wójtów gorąc był silny.

- A bez kobiety trza zmarnieć abo dzieciom gospodarkę odpisać - myślał - a duża jucha i kiej malowana. - A krowa najlepsza padła, a kto wie jutra?... Może to i trza poszukać żony? Tyle obleczenia po nieboszce jest - przygodziłoby się. Ale stara Dominikowa to pies... a cóż, mają chałupę i gront, toby na swoim ostała. Troje ich, a mają piętnaście morgów, to niby na Jagnę pięć i splata za chałupę i lewentarz! Pięć morgów to rychtyk te pola za mojem kartofli-skiem, żyto, widzi mi się, posiały latoś, tak... Pięć morgów do moich to... trzydzieści pięć bez mała! Karwas pola!...

Zatarł ręce i poprawił pasa. - To ino młynarz ma więcej... złodziej, krzywdą ludzką a procentami, a oszukaństwem tyła nabrał... A na bezrok podwiózłbym gnoju, a uprawił i pszenicy posiał na całym kawale; konia by trzeba przykupić, a i po granuli krowinę jaką... Prawda, krowę by dostać dostała...

I tak rozmyślał, liczył, rozmarzał się gospodarsko, aż czasem i przystawał z ciężkiej deliberacji. A że mądry chłop był, to wszystko zasię zbierał w sobie i głęboko w głowę patrzył, coby czego nie prześlepić i nie zapomnieć.

- Wrzeszczałyby juchy, wrzeszczały! - pomyślał o dzieciach, ale wnet fala mocy i pewności zalała mu serce i skrzepiła głuche jeszcze, wahające postanowienia.

Gront mój, wara komu drugiemu do niego. A nie chceta, to... - nie skończył, bo stanął przed chałupą Jagny.

Świeciło się u nich jeszcze i przez otwarte okno padała szeroka smuga światła i szła przez kierz georginiowy i niskie drzewa śliwkowe aż na płot i drogę.

Boryna stanął w cieniu i zapuścił wzrok w izbę.

Lampka tliła się nad okapem, ale w kominie musiał się buzować tegi ogień, bo słysząc było trzask świerczyny i czerwone światło zappełniało ogromną, mroczną po kątach izbę; stara, skulona przed kominem, czytała cosik głośno, a Jagna przeciw niej twarzą do okna siedziała; w koszuli była tylko i z podwiniętymi do ramion rękawami -- podskubywała gęś.

- Urodna jucha, to urodna! - myślał.

Podnosiła czasem głowę, nasłuchiwała matki, wzdychała ciężko, to znowu brała się sku-
bać pióra, aż gęś zagęgała boleśnie i rwać się poczęła z krzykiem z jej rąk, i bić skrzydłami,
że puch się rozwiął po izbie białym tumanem. Uspokoila ją rychło i mocno ścisnęła kolanami,
że gęś jeno pogęgiwała z cicha a boleśnie, i odpowiadały jej inne gdzieś z sieni czy z podwór-
rza.

- Piękna kobieta - pomyślał i odszedł śpiesznie, bo mu uderzyło do głowy, aż się podra-
pał, zapiął pętlę i pasa przyciągnął.

Już był w swoich wrotach i wchodził w opłotki, gdy się obejrzał na jej dom, bo rychtyk
stał naprzeciw, tyło że po tamtej stronie wody. Ktoś akuratnie wychodził, bo przez drzwi
uchylone lunęła struga światła i jak błyska wica zamigotała i padła aż na staw, potem czyjeś
mocne stapania zadudniły, i rozległ się chlupot wody nabieranej, a w końcu wskroś ciemni i
mgieł, co się były zwlekały z łąk, śpiew się ozwał przyciszony:

Ja za wodą, ty za wodą,
Jakże ja ci buzi podom?...
Podam ci ją na listeczku,
A naści-że, kochaneczku...

Słuchał długo, ale głos rychło przepadł i światła wkrótce pogasły.

Na niebo wtaczał się zza lasów księżyc w pełni i rozsrebrał czuby drzew, i siał przez
gałęzie światło na staw, i zaglądał w okna chat, co mu były naprzeciw. Psi nawet pomilkli,
cichość niezgłębiona objęła wieś całą i stworzenie wszelkie.

Boryna obszedł podwórze, zajął do koni, parskwały i gryzły obroki; wsadził głowę do
obory, bo drzwi dla gorąca stały otworem. Krowy leżały przeżuwając a postępując, jako to
jest zwyczajnie u bydlatek. Przywarł wrota do stodoły.

Zdjawszy kapelusz, szedł do izby i mówił półgłosem pacierz.

A że spali już wszyscy, rozzuł się po cichu i zaraz legł spać.

Ale zasnąć nie mógł, to pierzyna go parzyła, że nogi spod niej wysuwał, to mu po głowie
chodziły sprawy różne, a turbacje, a pomyślenia... to mu brzuch ano ciężył srodze, że postę-
kiwał i mruczał.

- Zawszy mówię, że zsiadłe mleko ino rozpiera brzuch, coby na noc nie dawać...

A potem jął myśleć o Jagnie; jak by to dobrze było, bo i urodna, i gospodarna, i tyle po-
la... To znowu przypominał sobie dzieci, to te gadania na Jagnę, że mąciło się w nim wszela-
kie rozeznanie, i już nie wiedział, co począć, że uniósł się nieco, i jak to było zwyczajnie,
chciało mu się du drugiego łóżka zawołać i poradzić:

- Maryś ! Żenić się czy to się nie żenić z Jagną?...

Ale w czas sobie przypominał, że Maryś już od zwieszony na cmentarzu, a tam se śpi Józka
i chrapie, a on jest sierotą, która poradzić się nikogo nie ma; to ino westchnął ciężko, przeże-
gnał się i jął mówić zdrowaśki za nieboszczkę i wszystkie dusze w czyścicu ostające.

ROZDZIAŁ 3

Już świt ubiełił dachy i zgrzebną, szarą płachtą przysłonił noc i gwiazdy poblądłe, gdy ruch się uczynił w Borynowym obejściu.

Kuba zwłókł się z wyrka i wyrztał przed stajnię -szron leżał na ziemi i szaro było jeszcze, ale już zorze rozpalały się na wschodniej stronie i czerwieniły czuby drzew oszroniałych - przeciągnął się z lubością, ziewnął parę razy i poszedł do obory, aby krzyknąć na Witka, że czas wstawać, ale chłopak uniósł nieco senną głowę i szepnął:

- Zaraz, Kuba, zaraz! - i przytulał się do legowiska.

- Pośpij se zdziebko, biedoto, pośpij! - Przyokrył go kozuchem i pokuszytał, bo że nogę miał kiedyś przestrzeloną w kolanie, kulał srodze i ciągnął ją za sobą; umył się pod studnią, przyglądał dłonią rzadkie, wyleniałe włosy, co mu się były pozwijają w kołtuny, i klęknął na progu stajni odmawiać pacierze.

Gospodarz spali jeszcze, w oknach chałupy zapalały się krwawe brzaski zórz, a gęste, białe mgły zwlekały się z wolna ze stawów, kołysały ciężko i posuwały w górę podartymi szmatami.

Kuba przesuwiał w palcach koronkę i modlił się długo a biegał oczami po podwórzu, po oknach chałupy, po sadzie omroczonym jeszcze na dole, po jabłonkach, obwieszonych jabłkami niby pięście; rzucił czymś do budy, koło drzwi, w biały łeb Łapy, aż pies zawarczał, zwinął się i spał dalej.

- Ale, do samego słońca spał będziesz, jucho! - i rzucił w niego raz, drugi, że pies wylazł, przeciągał się, ziewał, machał ogonem, przysiadł wpodłe i jął się drapać i czynić zębami w gęstych kudłach porządek.

- I ochfiaruję ten pacierz Tobie i wszystkim świętym. Amen! - Bił się długo w piersi, a powstając, rzekł do Łapy:

- Hale! aligant jucho, wybiera se pchły kiej baba na wesele !

A że robotny był, to się zajął obrządkiem - wóz wytoczył ze stodoły i nasmarował, napił konie i przyłożył im siana, aż parskać zaczęły i bić kopytami, a potem przyniósł z sąsiedka nieco zgonin, dobrze okraszonych owsem, i wyspał to kłaczy do żłobu, bo stała w gródce, osobno:

- Żrej, stara, żrej; żróbka mieć będziesz, to ci mocy trza, żrej! - Poglądził ją po nozdrzach, aż kłacz położyła mu łeb na ramieniu i pieszczotliwie chwytła wargami za kołtuny.

-...Ziemniaki do południa zwieziemy, a pod wieczór do lasu, po ściółkę - nie bój się, ściółka letka, nie zgonię cię...

- A ty, wałkoniu, batem dostaniesz, widzisz go, owies mu pachnie, próżniakowi - mówił do wałacha, co stał obok i łeb wtykał między deski przegrody, do żłobu kłaczy - grzmotnął go pięścią w zad, aż koń uskoczył w bok i zarżał.

- Hale, parobku żydowski! Żreć to byś choć i czysty owies żarł, a do roboty cię nie ma, bez bata, jucho, z miejsca nie ruszysz, co?

Wyminął go i zajrzał do żróbki, co stała przy ścianie samej i już z daleka wyciągała do niego kasztanowaty łeb ze strzałką białą na czole i rżała cicho.

- Cichoj, mała, cichoj! Podjedz se ano, bo pojedziesz z gospodarzem do miasta! - Uwił kłak siana i wyczyścił jej bok zawalany. - Tyla kłacz, że już do ogiera czas, a świniąś. Utyłesz się zawdy kiej maciora - pogadywał wciąż i poszedł do chlewów wypuścić świnię, bo kwiczały, a Łapa chodził za nim i zaglądał mu w oczy.

- Zjadłbyś i ty, co? To naści-że chlebaszka, naści! Wyjął zza pazuchy kawałek i rzucił, pies pochwycił i schował się do budy, bo świnię ano leciały mu wydrzeć.

- Hale, te swynie to kiej człowiek niektóry, aby ino chycić cudze i zechlać...

Zajrzał do stodoły i długo patrzył na wiszącą u belki krowę

- Głupie to jeno bydle, a i temu na koniec przyszło. Widzi mi się, co jutro zgotują mięsa... Tyle i z ciebie, biedoto, że człek se podje w niedzielę...

Westchnął do tego jadła i powlókł się budzić Witka...

- Słońce ino, ino - zarno się pokaże... Krowy trza wypędzać.

Witek mamrotał coś, bronił się, przykładał do kożucha, ale w końcu wstać wstał i łąził ocięzwały i senny po podwórzu.

Gospodarz zaspali dzisiaj, bo słońce już weszło i rozczzerwieniło szrony, i zapaliło łuny w wodach i szybach a z chałupy nikt się nie pokazywał...

Witek siedział na progu obory i podrapывał się zajadle, i przeziewał, a że wróble poczęły zlatywać z dachów do studni i trzepać się w korycie, to przyniósł drabkę i wlażł pod okap zajrzeć do gniazd jaskółczych, bo cicho tam jakoś było.

- Pomarzę czy co?

I jał wyciągać delikatnie pomorzone ptaszki i kłaść je za pazuchę.

- Kuba, wiecie, nie żyją, o! - Pobiegł do parobka i pokazywał sztywne, pogasłe jaskółki. Ale Kuba wziął ino w rękę, przyłożył do ucha, dmuchnął w oczy i rzekł:

- Zdrętwiały, bo przymrozek galanty. Ale że to głupie nie poszły jeszcze do ciepłych krajów, no no... - I poszedł do swojej roboty.

A Witek siadł pod chałupą, w szczycie, bo słońce już tam dochodziło i oblewało bielone ściany, po których i muchy łązić poczynąły; wyciągał zza koszuli te, które już ogrzane nieco jego ciałem, gmerały się trochę, churchały na nie, rozdziawiał im dziobki, poił z ust własnych, aż ożywiały się, otwierały oczy i poczynąły wydzierać się do ucieczki; wtedy prawą ręką czaił się po ścianie i raz w raz zagarnął jaką muchę, nakarmił nią i puszczał.

- Lećta se do matuli, lećta -szeptał, patrząc jak jaskółki siadały na kaletnicy obory, cze-sały się dziobkam i szczebiotały jakby dziękczynienia

A Łapa siedział przed nim na zadzie i skomlał ucieszenie, a co który ptaszek wyfruwał, rzucił się za nim, biegł kilka kroków i zwracał z powrotem stróżować.

- Ale, złap wiatr w polu - mrucał Witek i tak się zatopił w rozgrzewaniu jaskółek, że ani widział, kiedy Boryna wyszedł zza węgła i stanął przed nim.

- Ptaszkami się, ścierwo, zabawiasz, co?

Porwał się, by uciekać, ale już gospodarz chycił go krótko za kark i drugą ręką szybko odpasywał szeroki, twardy pas rzemienny.

- A dyć nie bijcie, a dyć! zdążył krzyknąć jeno.

- Takiś to pastuch, co? Tak to pilnujesz, co? Najlepsza krowa się zmarnowała, co?... Ty znajdku, ty pokrako warsiaska! Ty! - I bił zapamiętale, gdzie popadło, aż rzemień świszczwał, a chłopak wił się kiej piskorz i wrzeszczał:

- Nie bijta! Loboga! Zabije mię! Gospodarzu!... O Jezu ratujta...

Aż Hanka wyjrzała z chałupy, co się dzieje, a Kuba splunął i schował się do stajni.

A Boryna łoil go rzetelnie, wybijał mu na skórze swoją stratę tak zajadle, że Witek miał już gębę posinioną i z nosa puściła mu się krew, krzyczał wniebogłosy i cudem jakimś się wyrwał, chwycił się obu' rękami z tyłu za portki i gnał w opłotki.

- Jezu, zabili mę, zabili mę! - ryczał i tak pędził, aż mu reszta jaskółek wylatywała zza pazuchy i rozsypywała się po drodze.

Boryna pogroził jeszcze za nim, opasał się i wrócił do chałupy, i zajrzał na Antkową stronę.

- Słońce już na dwa chłopa, a ty się jeszcze wylegujesz! - krzyknął do syna.

- Zmogłem się wczoraj kiej bydlę, to muszę się wywczasować.

- Do sądu pojedę... Zwieź ziemniaki, a jak ludzie skończą kopanie, to zagnać je do grabienia ściółki, a ty mógłbyś kołki pozabijać do ogacenia.

- Ogaćcie se sami chałupę, nama tutaj nie wieje.

- Rzekłeś... to swoją stronę ogacę, a ty marznij, kiejś wałkoń.

Trzasnął drzwiami i poszedł na swoją stronę.
 Józka już rozpałała ogień i szła doić krowy.

- Rychło daj jeść, bo trza mi jechać...
- Przecięch się nie ozedrę, dwóch robót razem nie poradzę - i poszła.
- Spokojnego oczymgnienia nie ma, ino kłyżnij się ze wszystkimi! - myślał i wziął się do obleczenia, ale zły był i zgryziony. Jakże, ciągle wojna z synem, słowa nie można rzec, bo zaraz do oczów z pazurami skacze albo rzeknie coś, co jaże we wąpiach poczujesz. Na nikogo się spuścić, ino haruj i haruj!

Złość w nim zbierała, aż poklinał z cicha i rzucał szmatami po izbie a butami.

- Słuchać się powinny, a nie słuchają! Czemu to?- myślał.
- Widzi mi się, co bez kijaszka z nimi obyć się nie obędzie, bez twardego! Dawno się im to należało, zaraz po śmierci nieboszczki, kiej kłyżnić się zaczęły o gronta, ale się jeszcze wagował, żeby zgorszenia we wsi nie czy nić. Gospodarz był przeciech nie leda jaki, na trzydziestu morgach, i z rodu nie bele chto - Boryna, wiadomo. Ale dobrością z nimi się nie skończy, nie!... - Tu przyszedł mu na myśl zięć, kował, którego wszystkich po cichu burzył, a i sam wciąż nastawał, żeby mu sześć morgów odpisać i morgę lasu, a już na resztę chciał poczekać...
- To niby kiej zamrę! Poczekaj, jucho, poczekaj-myślał ze złością. - Póki się ino rucham, nie powąchasz ty ani zagona! Widzisz go, mądrala!

Kartofle już mocno perkotały w kominie, gdy Józka przyszła od udoju i wnetki narządziła śniadanie

- Józka! A mięso sama przedawaj. Jutro niedziela, ludzie się już zwiedziały, to się ich tu naleci; ino nie borguj nikomu. Pośladek ostaw la nas; zawoła się Jambroża to zasoli i przyprawi...
- A dyć i kował umiejają...
- Ale, podzieliłby, się kiej wilk z owcą.
- Magdzie będzie markotno, że to nasza krowa, a ona nawet nie obaczy.
- To la Magdy wytnij jaką sztuczkę i zanieś, ale kowała nie wołaj.
- Dobryście, tatulu, dobry.
- Hale, córuchno, hale! Pilnuj tutaj, a już ci bułeczkę przywiezę abo i co.

Podjadł se niezgorzej, opasał się pasem, przyglądał poślinioną dłonią zwichrzone i rzadkie włosy, ujął bat i jeszcze się rozglądał po izbie...

- Bym czego nie przepomniał. - Chciało mu się zajrzeć do komory, ale się powstrzymał, bo Józka patrzyła, więc się przeżegnał i ruszył.

A już z wasągą, zbierając w garść parciane lejce, rzekł Józce na ganek:

- Skończą ziemniaki, to zaraz iść grabić ściółkę, kwitek jest za obrazem. A niechta zetną jakiego grabka albo i chojkę - przyda się.

Wóz ruszył i już był w opłotkach, gdy Witek mignął pod jabłoniami.

- Zabaczyłem... prru... Witek! Prru! Witek, puść krowy na łąki, a pilnuj, bo cię, jucho, spierę, że popamiętasz!
- Ale, pocałujta mę gdzieś... - odchrząknął hardo znikając za stodołą.
- Będiesz tu pyskował, jak zleżę, to obaczysz...

Skręcił z opłotków na lewo, na drogę wiodącą ku kościołowi; podciął batem żróbkę, że podyrdała truchcikiem po wyboistej, pełnej kamieni drodze.

Słońce było już chyła tyła nad chałupami i świeciło coraz cieplej, bo z oszroniałych strzech podnosiły się oparyn i woda skapywała, tylko w cieniach - pod płotami w sadach, po rowach, leżał jeszcze siwy mróz; po stawie wlekły się ostatnie zrzędłe mgły i woda poczyniała spod bielm wrzeć brzaskami i odbłyскиwać słońce.

We wsi poczynął się już zwykły ruch: poranek był jasny i chłodny, a że zaś przymrozek orzeźwił powietrze, to i raźniej się poruszali, i zgiełkliwiej; wychodzili gromadnie na pola,